

W poszukiwaniu szczęścia

Rozmawiają o. Thomas Keating i Peter Ng
Singapur, marzec 2001

Peter Ng: Ojcze, w naszym mocno materialistycznym świecie wielu ludzi postrzega życie duchowe jako środek na radzenie sobie ze stresem. Nowi członkowie grup medytacyjnych często mówią o poszukiwaniu spokoju albo potrzebie wyzwolenia od stresu. Co może ojciec poradzić tym wszystkim, którzy bezskutecznie poszukują szczęścia i są przytłoczeni codziennością?

Ojciec Keating: To złożony temat. Istnieje wiele powierzchownych sposobów na radzenie sobie z potrzebą zaspokojenia głodu szczęścia, spokoju czy ograniczenia stresu. Jeśli takie sposoby interesują ludzi, to w zasadzie są one dostępne na wyciągnięcie ręki w formie środków chemicznych, przynoszących tymczasową ulgę. Ale gdy głód ten pochodzi z głębszych pokładów, a tak jest w istocie, lecz nie zdajemy sobie z tego sprawy, wówczas i głębsze zmiany muszą zajść w naszej postawie, systemie wierzeń oraz we wzorach postępowania.

Twoje pytanie dotyka jednego z najbardziej fundamentalnych zagadnień, zawartych w Piśmie Świętym. Nie jest zatem nowością. Proszę pamiętać, że gdy Adam popadł w tarapaty w relacjach z Bogiem i poczuł wstyd z powodu nieposłuszeństwa, którego dopuścił się względem Stwórcy, jego pierwszą reakcją była ucieczka do lasu. Adam chciał się po prostu ukryć. I rzeczywiście, Adam i Ewa schowali się w krzakach. Zostaliby tam na całą wieczność, gdyby Bóg ich nie szukał, i gdyby nie wypowiedział niezwykle doniosłego pytania: „Adamie, GDZIE jesteś?“, albo: „Gdzie TY jesteś?“, albo: „Gdzie JESTEŚ?“, zależnie od tego, w którym miejscu postawimy akcent.

Oto podstawowe pytanie, znamionujące zwrot. Pytanie Boga, wzywającego nas do przebudzenia świadomości wzajemnej relacji. Adam i Ewa powinni byli wyjść z ukrycia i powiedzieć: „Popełniliśmy straszny błąd. Czy nam przebaczysz?“. Ale tego nie uczynili. Oszczędziłoby to rodzajowi ludzkiemu wielu kłopotów. A tak, przychodzimy na świat w ukryciu. Rodzimy się bez doświadczenia Boga, które Adam i Ewa z pewnością mieli, jako stworzeni na Jego obraz i podobieństwo. I my jesteśmy stworzeni na obraz Boga, ale już nie na podobieństwo, jak Adam, który był na początku wolny od śmierci, chorób, i wszelkich ludzkich problemów, będących prostą konsekwencją niedoświadczenia obecności Boga w naszych wnętrzach.

Przychodzi moment w naszym życiu, czasem za sprawą splotu okoliczności, czasem za sprawą choroby, wyczerpania, katastrofy, gdy zaczynamy słyszeć dokładnie to samo pytanie. Miłosierny Bóg pyta nas: „Gdzie jesteś?“, co można tłumaczyć: „Jaka jest nasza wzajemna relacja?“ Oraz: „Czy nie chciałbyś tu czegoś zmienić?“ Samopoznanie w duchowej tradycji chrześcijaństwa jest uświadomieniem sobie kruchości ludzkiej kondycji, iluzoryczności pogoni za szczęściem i naszego pragnienia odnalezienia szczęścia w świecie rzeczy lub duchowych pociech, które Bogiem nie są. Samopoznanie wzywa nas, abyśmy zmobilizowali się i z całą powagą wkroczyli na drogę, która przyniesie uzdrowienie.

Najczęściej, ludzie kierują spojrzenie w stronę religii lub wnikają głębiej w dotychczasową praktykę religijną. Zadaniem religii jest pomóc ludziom, aby przejrzeni, gdzie się znajdują, oraz że są wezwani do tego, aby poddać się uzdrowieniu. Bo jeżeli zaledwie przejrzyś, gdzie jesteś, i jak jesteś marny, wtedy

szybko popadniesz w rozpacz. Z kolei jeśli nie dowiesz się, jak bardzo jesteś chory, to będziesz dalej gonił za iluzjami, które spotęgują objawy chorobowe. Religia zaopatruje nas w narzędzia, dzięki którym możemy rozpocząć proces uzdrawiania, będący świadectwem Bożego miłosierdzia względem nas. Ale to również świadectwo tego, że nasza najgłębsza istota jest dobra, a stąd odwaga, aby zaufać Bogu i wkroczyć na trudną drogę, którą możemy nazwać Boską terapią. Na tej drodze Bóg ukaże nam w pełnym świetle przeszkody, które oddzielają nas od szczerości.

Ojciec sugeruje, że poczucie niespełnienia, jako stały element ludzkiej kondycji, bierze się stąd, że szukamy nie tam, gdzie należy. Jakie jest zatem przesłanie chrześcijaństwa?

Wygląda na to, że Bóg był tak bardzo poruszony pogmatwaną kondycją ludzką, i ukochał człowieka do tego stopnia, że wprost ze swojego serca zesłał na świat jednorodzonego Syna, aby pokazał On swoim przykładem, jak wieść boże życie w ludzkiej formie, ponieważ my nie wiedzieliśmy, jak to czynić. Jednocześnie przyniósł nam nauczanie, wsparcie i łaskę, których łakniemy, z uwagi na obecność Boga w naszych duszach. Uczynił to, abyśmy potrafili mierzyć się z problemami w sposób uporządkowany, z pomocą Jezusa Chrystusa i Jego Ducha, którego otrzymujemy w sakramencie chrztu oraz innych sakramentach.

Skrucha

Co miał Jezus na myśli, gdy wzywał nas do skruchy?

Skrucha jest zasadniczo zaproszeniem do zmiany kierunku, w którym zmierzamy poszukując szczęścia. Mówiąc inaczej, kiedy odpowiesz sobie na pytanie „Gdzie jestem?” przez uświadomienie sobie, że jesteś w ukryciu, w świecie rozproszeń, które oddzielają ciebie od twego jestestwa, innych ludzi, a przede wszystkim od Boga, zakiełkuje w tobie pragnienie, aby coś z tym zrobić. Poznasz, gdzie jesteś. Poznasz, że jesteś chory i zrozumiesz, że potrzebujesz pomocy. Oraz, że dalej żyć tak nie sposób.

Przyjdzie moment zniechęcenia, chyba że w tej samej chwili uzmysłowisz sobie, że Królestwo Boże jest tuż, tuż. Obietnica polega na tym, że gdy zaakceptujesz rzeczywistość ludzkiej kondycji, uznasz ją i zwrócisz się do Boga (oto „zwrot” nabiera właściwego znaczenia), oraz poszukasz szczęścia tam, gdzie jego prawdziwe źródło. Jest nim postępowanie zgodne z wolą Boga, poznanie obecności Boga w głębi duszy, i kultywowanie Bożej obecności, zamieszkującej nasze wnętrza – wówczas rozpoczniesz wędrówkę po uzdrowienie, które będzie dogłębne, a nie powierzchowne. Obejmie ono całe twoje życie, które zostanie powierzone Bogu na wzór życia Jezusa Chrystusa, i nie odejmując nic z wyjątkowości ludzkiego życia, uczyni je życiem bożym.

Spotykamy się w Singapurze w czasie Wielkiego Postu. Wielki Post jest w Kościele opisywany jak wydłużony okres rekolekcyjny. W Ewangeliach czytamy, iż Jezus udał się na pustynię, gdzie był kuszony przez szatana. Jak ojciec postrzega potrzebę okresu Wielkiego Postu, czasu rekolekcyjnego odosobnienia? Czy jest to czas naprawy ludzkiej kondycji? W jaki sposób kuszenia, których doświadczył Jezus, są odzwierciedleniem tejże ludzkiej kondycji?

Podstawową chorobą natury ludzkiej jest poczucie odrębności, wrażenie, że jesteśmy wyalienowani i odłączeni od Boga, ludzi oraz od nas samych. Prowadzi to do rozpaczliwych prób odnalezienia szczęścia w zamiennikach tej obecności, której nie potrafimy doświadczyć.

W kuszeniu na pustyni z niezwykłą intensywnością Jezus odczuł główne słabości natury ludzkiej. Trzykrotne kuszenie Jezusa związane jest z trzema podstawowymi potrzebami, które przynosimy ze sobą na ten świat, a są nimi: pragnienie bezpieczeństwa i przetrwania, pragnienie bycia kochanym, szanowanym i akceptowanym, oraz pragnienie władzy i kontroli. Kuszenia na pustyni oscylowały właśnie wokół tych pragnień. „Powiedz, żeby te kamienie stały się chlebem” – bezpieczeństwo. „Rzuć się w dół z narożnika świątyni, a będziesz czczony i każdy przed Tobą zegnije kolano” – publiczny szacunek. I ostatnie, najgorsze ze wszystkich, gdy szatan zabrał Jezusa na szczyt góry i pokazał mu wszystkie narody świata, i powiedział „Dam Ci to wszystko, jeśli upadniesz i oddasz mi pokłon” – władza i kontrola. Jezus odpowiedział na kuszenia mocą Ducha, zamieszkującego jego wnętrze.

Oto idea Wielkiego Postu. Wyzwanie dla naszego fałszywego „ja”. Filarem fałszywego „ja” jest rosnące identyfikowanie się (czy też przesadne identyfikowanie się) z jednym lub ze wszystkimi z tych trzech emocjonalnych programów na szczęście. W miarę dorastania, gdy jesteśmy pomiędzy 4 i 8 rokiem życia i uczymy się zachowań społecznych, rodzi się zbytnia identyfikacja z grupą. Społeczny aspekt ukrywania się przed Bogiem zostaje spotęgowany na skutek doświadczeń.

Wielki Post nie jest wyłącznie umartwianiem się, czuwaniem czy rozdawaniem datków. To są gesty, symbolizujące przemianę. Sedno Wielkiego Postu tkwi w ujrzeniu, jak ogromną szkodę wyrządza nam kurczone trzymanie się fałszywego „ja”, oraz w przekazie, aby pozwolić mu obumrzeć, poddać się, abyśmy mogli zostać przeobrażeni, odnowieni, wyciągnięci z leśnego ukrycia na pełnię światła Bożej obecności, i poczuli radość. Oto, co nazywamy Wielkanocą lub wewnętrznym zmartwychwstaniem z fałszywego „ja”, czego chrzest jest esencją. Chrzest to śmierć i odrodzenie. Ale co umiera? Nie ciało. To przyrzeczenie, iż pozwolimy odejść fałszywemu „ja”, pozwolimy mu obumrzeć, aby podnieść się w zmartwychwstaniu Jezusa Chrystusa, i doświadczyć wewnętrznej wolności, radości oraz miłostnego przebywania w Bogu, w miejsce życia dla samych siebie.

Fałszywe „ja” – prawdziwe „ja”

Czy możemy trochę więcej miejsca poświęcić fałszywemu „ja”? Czy rodzi się ono razem z nami, i rozwija w miarę, jak dorastamy? Co Ojciec rozumie przez pojęcie prawdziwego „ja”?

Fałszywe „ja” jest współczesnym synonimem tego, co apostoł Paweł nazywa w Listach „dawnym człowiekiem”. To świadomość naszej tożsamości, będącej zbiorem przyzwyczajzeń, które wyhodowaliśmy realizując nasz emocjonalny program na szczęście, i które utrwaliły się w nas w formie, nazwijmy je, centrów energetycznych. Pełnią one rolę środków ciężkości i centralnych punktów odniesienia dla naszych wyobrażeń, pamięci, pragnień, uczuć i chęci. Możemy je nazwać centrum przyciągania, gdzie „ja” jest jego jądrem.

W miejsce Boga, jako centrum wszelkiej egzystencji, fałszywe „ja” rodzi tożsamość egotyczną. Wszystko musi służyć ego. Cokolwiek dostaje się w sferę jego oddziaływania, nie jest postrzegane z perspektywy obiektywności i swojej własnej rzeczywistości, lecz oceniane jest w kontekście przydatności do realizacji emocjonalnego programu na szczęście, zawierającego w sobie potrzebę bezpieczeństwa, kontroli oraz rozpaczliwe dążenie do akceptacji. Proces rozpoczyna się w najwcześniejszym dzieciństwie, gdy dziecko odłącza się od matki, następnie rozwija poczucie odrębności wobec otoczenia, a potem wobec własnego ciała. Ostatecznie wszystkie te elementy integruje w dojrzałej

świadości, która staje się niczym innym, jak fałszywym i iluzorycznym wyobrażeniem o tym, kim jesteśmy. Wielki Post i początki drogi duchowej wybrzmiewają pytaniem „GDZIE ty jesteś?”. Jeśli odpowiemy Bogu i wyjdziemy z ukrycia, czyli pozwolimy obnażyć fałsz naszego „ja”, pojawi się pytanie następne: „KIM jesteś?”

Odkryjemy stopniowo, że nie jesteśmy tymi, za których się uważaliśmy. Nie jesteśmy splotem pragnień, komentarzy i wspomnień oraz planów czy wyidealizowanych wyobrażeń o sobie oraz o tym, co chcemy w życiu osiągnąć. Jesteśmy czymś o wiele głębszym, o wiele bardziej rzeczywistym. Tam jest to prawdziwe „ja”, jestestwo stworzone przez Boga, i pomyślane przez Boga. Spoczywa ono pod warstwami fałszywych obrazów, które przemykają i przemieniają się w miarę, jak wczesne dzieciństwo przeobraża się w dorosłość. Przemiany te nie zawierają w sobie radykalnego porzucenia oryginalnych programów nastawionych na szczęście. Przybierają one po prostu różne formy, które mogą niekiedy stwarzać pozór czegoś niezwykle dostojnego, lecz tylko do czasu aż przejrzymy na oczy i zrozumiemy, że nadal nie są skuteczne.

Zdarza się, że potrzebny będzie kryzys. Sama natura współpracuje tutaj z Bogiem. Kryzys wieku średniego to często taki moment w życiu człowieka spełnionego zawodowo, kiedy dopada go myśl, że w gruncie rzeczy nie jest szczęśliwy, a życie nie ma większego sensu. Jest to czas rozwodów. Nie cieszy rodzina, relacje z bliskimi nie przysparzają radości. Dorosłe dzieci wyprowadzają się z domu i nagle małżonkowie stają przed koniecznością stworzenia pomiędzy sobą nowej relacji. Czasem mnogość spraw pogłębi różnice zdań. Albo sprawi to pojawienie się choroby, bankructwo, porażka zawodowa czy wykluczenie z jakiegoś środowiska. To są wszystkie sposoby i drogi Boga, którymi stara się do nas dotrzeć ze swoim fundamentalnym pytaniem. Leżysz oto na łożu śmierci, przeżywszy wiele lat w pogoni za władzą, kontrolą, bogactwem, przedmiotami albo romantycznymi związkami. Otaczają cię zewsząd lekarze różnych specjalności, psychiatrzy, usiłujący utrzymać cię przy życiu lub przynajmniej uśmierzyć twoje cierpienie, i nagle spada na ciebie grom: „A może mój sposób na szczęście był zwykłym niewypałem?”

Religia niesie przesłanie, że nie musimy trwać w tej niedoli. Pożyteczną rzeczą będzie usłyszeć to fundamentalne pytanie jak najwcześniej, aby wejść na ścieżkę wewnętrznego zdrowienia i duchowej wolności, oraz pozwolić prawdziwemu ja, którego środkiem ciężkości jest Bóg, a nie ego, aby było źródłem wszelkiego działania.

Modlitwa kontemplacyjna

W jaki sposób praktyka modlitwy kontemplacyjnej pomaga nam przejść od fałszywego do prawdziwego ja?

Poddanie się sakramentowi chrztu świętego jest wewnętrznym zobowiązaniem do uśmiercenia fałszywego ja, jest gotowością do przyzwolenia Bogu, aby odpuścił nasze grzechy, ale jest też gotowością do stawienia czoła mrocznej stronie naszej osobowości i zapisanym w naszych wnętrzach nieuświadomionym przeszkodom, które uniemożliwiają Bogu przejęcie inicjatywy w naszym życiu. Boska terapia jest dogłębnym procesem uzdrawiającym. Dotyka nie tylko warstwy świadomego życia, ale również tych nieuświadomionych ran z dalekiej przeszłości, które są pochodną frustracji naszego pragnienia szczęścia, krążącego wokół trzech centrów energetycznych, jakimi są władza, akceptacja i poczucie bezpieczeństwa. Ilekroć te pragnienia są szczególnie intensywne, jak u osób, którym odmówiono zaspokojenia ich we wczesnym dzieciństwie, stają się one natrętnymi żądaniem i potrzebami. Frustracja w codziennym życiu jest zatem

pewna jak słońce. Jak tylko frustracja przychodzi (nie zgotowano nam aplauzu, odmówiono akceptacji, bezpieczeństwa, nie dano władzy, jak chcieliśmy), z miejsca eksplodują chorobliwe emocje w rodzaju poniżenia, wstydu, gniewu, lęku, zniechęcenia, zależnie od psychologicznego rusztowania i historii. Dochodzi do prawdziwego wybuchu z chwilą, gdy nieświadomiona motywacja, podbudowana ogromnym ładunkiem emocjonalnym, zderza się w codziennym życiu ze zdarzeniem uruchamiającym frustrację.

Życie wówczas staje się serią konfliktów i emocjonalnych zawirowań. Gdy rodzi się silna frustracja, zawczasu zmagazynowane pakiety komentarzy uruchamiają się samoczynnie: „Jak oni mogli mi to zrobić?”, „Wszak to ja mam rację, i nikt nie potrafi tego faktu zaakceptować!”, „Co o tym wszystkim pomyślą moi bliscy?” i tak dalej. To tylko intensyfikuje emocjonalne rozdarcie i proces się nakręca. Niepokój przeradza się w lęk, a ten w panikę. Irytacja i rozdrażnienie przeradzają się w gniew, a dalej we wściekłość, a jeszcze dalej w chwilę szaleństwa. Aż dochodzimy do punktu, w którym jesteśmy gotowi pozabijać się, ponieważ emocję biorą górę. Potrzeba czasu, aby zejść z emocjonalnej huśtawki. Z psychologicznego punktu widzenia, gdy wybuch gniewu, przychodzi lęk, adrenalina zalewa organizm. Będziesz więc odczuwał jej skutki przez kolejne dwie, trzy godziny, bo tyle czasu zajmie ci ądu czy wątrobie pozbycie się jej nadmiaru.

Pytanie „Gdzie jesteś?” zaczyna obnażać nam marność i bezsensowność sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy. Łańcuch reakcji dominuje nad naszą świadomą codzienną krzątaniną. Jesteśmy przytłoczeni przez relacje z ludźmi, przez zdarzenia, przez nasze reakcje, i co gorsza, przez nasze wewnętrzne komentowanie reakcji, co czyni je jeszcze bardziej nieznośnymi. Całe doświadczenie zanurza się na powrót w sferze nieświadomionej i zaostrza patologię, chyba że coś z nią zrobisz i odpuścisz podstawowe kwestie, leżące u jej źródła. Mówiąc inaczej, grzech sam w sobie nie jest problemem w większości przypadków. To jak z liśćmi drzewa. Będą zdrowe, jeśli korzeń jest zdrowy. Owoc będzie zgniły, gdy chory jest korzeń. Oto dlaczego Jezus podpowiada: zmień korzeń drzewa. Zmień radykalnie kierunek, z którego wypatrujesz nadejścia szczęścia. Żal za grzechy oznacza tę zmianę. Jest daleko głębszym i intymniejszym wyrzeczeniem, niż darowanie sobie posiłku, drobny post, nieco krótszy sen czy jałmużna. To są wszystko startery, mające wywołać szok w systemie, sygnalizujące nadchodzące przeobrażenia. Zaczynasz więc stosunkowo prosto.

Drogę ku przemianie stwarza modlitwa kontemplacyjna. Uwrażliwia nas na nieświadomioną zawartość duszy z chwilą, gdy przestajemy myśleć o czymkolwiek, nawet o Bogu, duchowości, a po prostu otwieramy się i całkowicie powierzamy Bogu przez naszą zgodę na Jego obecność w naszych sercach. Oto, co rozumiem przez „intencję”. Jest nią zgoda na plan Boga. A plan ten obejmuje:

- akceptację Bożej obecności w naszych sercach;
- akceptację pochodzących od Boga inspiracji, które nas uzdrawiają oraz uczą, jak porzucić fałszywe „ja”. Pożera ono nasze cenne zasoby energii niezbędnej w duchowej podróży, gdy fałszywe „ja” staje się mniej aktywne. .

Trudności są nieodzownym elementem podróży nie dlatego, aby były zgodne z Bożą wolą, ale ponieważ wiążą się z miejscem, z którego rozpoczynamy wędrówkę. Lekarstwo musi być adekwatne do powagi choroby. Stłamszone, nieprzetrawione emocjonalne frustracje i traumy powinny mieć możliwość wydostania się na światło świadomości. Jedynie w ten sposób emocje ulegną rozpuszczeniu. Zasadniczo są one energią. Ten rodzaj energii pozostaje w naszych ciałach, niczym magazyn emocjonalnych skaz. Z ukrycia oddziałuje na nasze racjonalne decyzje, z czego nie zdajemy sobie w ogóle sprawy. Modlitwa

kontemplacyjna poprzez samopoznanie ostrzega nas przed wewnętrznym zaprogramowaniem. Wpływa ono na intensywność oddziaływania energii, będącej istotą tego zaprogramowania.

Bóg zamieszkujący w nas

Opisał ojciec modlitwę kontemplacyjną, jako wakacje od fałszywego „ja”. W ujęciu bardziej optymistycznym, nazwał ją ojciec otwarciem naszych serc na Obecność zamieszkującą nasze wnętrza, obecność samego Boga. Jak powinniśmy rozumieć tę Obecność?

W medytacji porzucamy otoczenie zwykle poprzez zamknięcie oczu, znalezienie odosobnionego miejsca, i wreszcie czynne porzucenie wewnętrznego dialogu, który tak bardzo zdominował naszą psychologiczną świadomość. Otwieramy się aktem woli, przyzwalając na obecność Boga. Często symbolizowana jest ona w sposób sakralny, co ma nam ułatwić poświęcenie całej uwagi i woli, całego naszego jestestwa Bożej Obecności. Wierzymy, że Boża Obecność zamieszkuje nasze serca w postaci Trójcy Świętej, nieprzerwanie podtrzymującej naszą fizyczną, umysłową, psychologiczną i duchową egzystencję, ale również dostępnej nam 24 godziny na dobę, ilekroć potrzebujemy pomocy. Jest więc modlitwa kontemplacyjna swoistym dialogiem z Obecnością, stanowiącą najgłębsze źródło naszego bytu.

W medytacji zachodzi rodzaj dynamicznego przejścia z codziennego poziomu psychiki do poziomu duchowego, poziomu intuicji i woli duchowej. Wówczas prawdziwe „ja” pozwala się odczuć od czasu do czasu, z inspiracji Ducha Świętego, które manifestują się poprzez Jego siedem darów oraz Jego owoce. A to oznacza, że zmartwychwstałe życie Jezusa Chrystusa zapuszcza w nas korzenie i żyje w nas.

Ale to wciąż początek drogi. Pozostaje głęboko intymne miejsce w sercu, gdzie przebywa Bóg, oraz gdzie Bóg i prawdziwe „ja” pod względem woli stanowią jedno. Nie chodzi o to, że literalnie stajemy się jedno z Bogiem, ale o to, że mamy uczestnictwo w Bogu, oraz że potężne JA JESTEM Boga staje się naszym „ja jestem”, w miejsce fałszywego i iluzorycznego „ja”, które jest centrum systemu ego.

Wielu katolików zostało wychowanych w przeświadczeniu, że Bóg jest obecny w kościele. W kościele nasza postawa staje się pełna szacunku. Wierzymy, że Jezus Chrystus przebywa w sposób szczególny w Najświętszym Sakramencie. Gdy zatem Najświętszy Sakrament zostaje wystawiony, klękamy i adorujemy Go. Natomiast, nieliczni żyją z przeświadczeniem, że Bóg zamieszkuje w naszych sercach, że jest obecny w naszych wnętrzach. Jak uwrażliwić ludzi na prawdę o Obecności zamieszkującej nasze serca?

Z całą pewnością trzeba o tym mówić, trzeba o tym nauczać, trzeba to umieszczać w kazaniach. Powinna to być jedna z najbardziej fundamentalnych nauk, którą przedstawiasz dziecku, gdy wspominasz imię Pana. Od samego początku dziecko powinno poznawać miłującego Boga, którego doświadczył Jezus. I które to doświadczenie próbuje nam przekazać wspomnianymi przez Ciebie sposobami.

Jest to fundamentalna doktryna wszelkiego życia duchowego. Wszystko inne to środki do niej zmierzające. To narzędzia edukacyjne, lecz niestety przedstawione tak, że ludzie utykają w nich i nie są w stanie z symbolicznej obecności Boga przejść do Jego Obecności w swych sercach, w sercach wszystkich ludzi, przenikającej całe stworzenie. Święty Tomasz z Akwinu mówi, że Bóg jest istnieniem, zatem jest obecny we wszystkim, co istnieje.

Gdziekolwiek zwrócisz się, Bóg jest tuż obok. Bóg jest nam o wiele bardziej bliski, niż nasza własna świadomość. Gdyby Bóg nie był obecny przez cały czas, bylibyśmy pustymi naczyniami, gdyż stworzenie jest nieustającym wydarzeniem. Bóg nieprzerwanie podtrzymuje nasze istnienie. Nowość chrześcijańskiego objawienia polega na tym, że ta twórcza Obecność, Boska energia jest nieskończenie kochająca i miłosierna, czuła i opiekuńcza, z niej czerpiemy pokarm i ona nas wspiera oraz zaprasza nas do uczestnictwa w najwyższej pełni Bożej szczęśliwości.

Pozostaje kwestia akcentów, jakie kładziemy na te wszystkie praktyki, świętość Kościoła, a przede wszystkim świętość Eucharystii. Gdy studiujesz znaczenie Eucharystii oraz nauczanie Jezusa, dochodzisz do wniosku, że Eucharystia nie jest celem samym w sobie. Jest środkiem do przebudzenia nas na Bożą Obecność w naszych sercach. Dlaczego przyjmujemy komunię świętą? Komunia nie jest czymś, co raz otrzymane, za chwilę przemija bez śladu. Komunia jest wyrazem Boskiego pragnienia przyjscia do nas i pozostania z nami przez cały dzień, oraz w rzeczy samej, przebudzenia nas na rzeczywistość tego, iż Bóg przebywa z nami nieprzerwanie od samych początków naszego stworzenia. Chodziłoby zatem o przesunięcie akcentów w instrukcji. Obawiam się, iż w ciągu ostatnich wieków, gdy Kościół zatracił kontemplacyjny wymiar głoszenia Ewangelii, zdarzało się akcentować niewłaściwe rzeczy. Nie żeby nie były one częścią prawdy. Tyle, że ich akcentowanie odbywało się kosztem prawd daleko ważniejszych, na przykład prawdy o Trójcy Świętej.

Byłem bardzo oddany Najświętszemu Sakramentowi we wczesnym okresie nawrócenia. Spędzałem przed Nim całe godziny. W pierwszych dwóch latach college'u, gdy nawrócenie miało swój początek, spędzałem przed Nim cały wolny czas, zaniedbując naukę. Nie troszczyłem się w ogóle o szkołę. Moim jedynym pragnieniem było zostać kontemplatykiem i dostąpić komunii z Bogiem, czyścić Jego wolę itd. Wstąpiłem do klasztoru, i tu cały wolny czas spędzałem przed Najświętszym Sakramentem. Opat z wielkim oddaniem czcił Eucharystię, podobnie jak ówczesny Kościół, który jest taki i dzisiaj, jak sądzę. Był to czas, gdy adoracja Najświętszego Sakramentu i inne praktyki duchowe były niezwykle poważane. Kochałem te chwile, trwając godzinami przed Najświętszym Sakramentem.

Skończyło się tak, że rozchorowałem się, co zdarza się młodym, gorliwym mnichom, wymagającym od siebie zbyt wiele. Dwa lata spędziłem w szpitalu. Zdrowie nie pozwalało mi na odwiedzanie Najświętszego Sakramentu, chyba że na krótkie chwile. Wreszcie trafiłem do domu zakonnego, gdzie Najświętszy Sakrament nie miał wydzielonego miejsca. W moim oddaniu był element przywiązania. Jedynym sposobem, aby je przewyciężyć (a nie jest rzeczą prostą przekonać kogoś, kto czerpie korzyści ze swojego przywiązania, iż istnieją rzeczy o wiele lepsze) było pozbawienie mnie obiektu przywiązania. Właśnie w okresie, gdy nie miałem możliwości adorowania Najświętszego Sakramentu, zacząłem pojmować, jak doniosłe jest nauczanie o zamieszkującej nas Bożej Obecności. Nadmierne oddanie Najświętszemu Sakramentowi, jak formie obrzędu, może być zarówno przeszkodą w życiu duchowym, jak i nadzwyczajnym źródłem wzrostu duchowego. Powinno być to dla nas wskazówką, iż w drodze duchowej używamy obrzędów lub metod ich sprawowania, niczym narzędzi. Prowadzą nas one do określonego punktu, w którym Duch Święty, chcąc wyrobić w nas głębsze rozumienie Bożej Obecności, może zażądać ograniczenia czasu poświęcanego obrzędowi albo w ogóle rezygnacji z ich sprawowania, aby rozwinąć w nas zdolność osobistej relacji z Bogiem, która nie potrzebuje tak intensywnego pośrednictwa obrzędów, manifestujących oddanie.

Kościół pozostanie Kościołem. Tyle, że zacznie nas łączyć z nim inna relacja. Nie będzie już relacji zależności albo przymusu bycia w kościele, bo tylko tam można odnaleźć Boga. Zastąpi je raczej poczucie, iż mogę Go tam spotkać, mogę tam wyrazić moje oddanie. Ale mogę też, gdy sprawią to okoliczności lub wpływ łaski, odczuć potrzebę cichej modlitwy we własnym domu, gdy w kościele będzie zbyt głośno. Modlitwa kontemplacyjna daje nam spontaniczną swobodę szukania związku z Bogiem oraz uwrażliwia nas na natchnienia Ducha Świętego.

Z chwilą, gdy zaczyna się podróż duchowa, znika kwestia tego, co złe lub dobre. Pojawia się kwestia tego, co dobre, lepsze i najlepsze, a wreszcie poza wszelką klasyfikacją. Gdy więc utkniesz na tym, co lepsze, to po prostu utknąłeś i niejako nie będziesz w stanie odkryć pełni przemieniającego działania łaski, które stara się nam przekazać Eucharystia. Innymi słowy, przyjęcie Chrystusa jest symbolem przemiany, ponieważ pokarm przemieniony zostaje w nas w ciało. Z psychologicznego punktu widzenia jest to zrozumiałe. Jednak wedle doktryny chrześcijańskiej, z perspektywy duchowej to Chrystus przemienia nas w swoje duchowe ciało i stajemy się członkami mistycznego ciała Chrystusa. Jego duch zamieszkuje w nas i manifestuje siebie, co przejawia się w owocach Ducha Świętego, miłosierdzia, radości i pokoju. Oto oznaki, że wewnętrzna przemiana dokonuje się. Są one daleko ważniejsze od statystki tego, ile razy odwiedziliśmy kościół, ile odmówiliśmy różańców, w ilu mszach uczestniczyliśmy. To są środki. W pewnym momencie, nie potrzebujemy środków tak bardzo, ponieważ nieustannie trwamy w obecności Boga.

Zatem, wszelkie praktyki religijne, która są niezwykle cenne na pewnym etapie podróży duchowej, nie tracąc na wartości (wszak nie mówimy o ich odrzuceniu), ustępują miejsca w hierarchii. Otrzymujemy swobodę ich używania zależnie od okoliczności oraz naszego postępu. Jeśli więc wyrzucą nas ze wspólnoty zakonnej, nie będzie to jeszcze koniec świata. Gdy nie możemy iść do kościoła, to również nie koniec świata. Mógłbym wręcz dodać, iż dopuszczałbym sytuację, że zamiast uczestnictwa w niedzielnej mszy, spędzimy niekiedy czas na grze w golfa. Nie mówię o każdej niedzieli. Ale, gdy zdarzają się okresy, że odczuwamy zmęczenie, albo napięcie tak duże, iż nasz organizm domaga się odstępstwa, a ponieważ Bóg trwa przy nas, wówczas czemu nie zagrać dziewięciu dołków w Jego obecności.

Doświadczenie mistyczne

Język zawsze okazuje się niewystarczający, gdy próbujemy mówić o Bogu. Istnieje powiedzenie, iż gdy zaczynamy opisywać Boga, słyszymy jak zatrząskują się bramy raj. W modlitwie kontemplacyjnej możemy jednak doświadczyć tej tajemniczej obecności. Podczas lektury książki Ojca, zatytułowanej „Owoce i dary Ducha Świętego”, bardzo mnie poruszyły wspomnienia doświadczeń Bożej obecności. Czy może Ojciec przywołać w pamięci te doświadczenia?

Dzięki łasce Bożej, jest ich kilka. Tu i ówdzie, wspomniałem niektóre doświadczenia dla uwypuklenia kwestii szczególnych darów Ducha Świętego, który, jak mniemałem, działał we mnie. Nie były to zdarzenia, na które jakoś zasłużyłem lub które wywołałem. Płynęły one wprost z Bożego miłosierdzia. A najcenniejszą rzeczą w doświadczeniu Bożej obecności jest to, że przychodzi ono nagle i niespodziewanie, otwierając zupełnie nową perspektywę na Bożą dobroć.

Na przykład, pewnego razu chorowałem. Byłem w szpitalu, w którym chorymi opiekowali się zakonnicy. Wyszedłem ze szpitala na zewnątrz. Była wówczas piękna pełnia księżyca. Wtem, a nic szczególnego nie działo się poza tym, że czułem się żałośnie, gdyż odczuwałem ból po operacji przepukliny, zostałem otoczony oraz do samej głębi przeniknięty obecnością, która w jednej chwili stała się niemal wszystkim. Potężna, lecz niezwykle delikatna. Pokorna, lecz dostojna.

Wszepochebna, lecz szanująca moją wolność. Niezmierną, wspaniałą, i niedefiniowalną w jednym słowie; obejmująca wszystko. Niespodziewanie uświadomiłem sobie, że dar Bożej miłości zbiegł się z chwilą księżycowej pełni. Ponieważ wywodzę się z kulturowego kręgu, gdzie księżyc miał zawsze lekko romantyczne konotacje, byłem przekonany, iż Bóg stworzył niegdyś księżyc po to, aby radować się chwilą, którą wybrał dla objawienia, jak bezgranicznie mnie kocha. Do owej chwili doskonale zdawałem sobie sprawę z tego, gdzie jestem. Usiłowałem odpowiadać na pytanie Boga już od 30 lat. Wiedziałem więc, że byłem gdzieś w krzakach i wprawdzie On musiałby przyjść i zawołać mnie. Szedłem dalej, przeogromna radość wypełniła moje wnętrze. Nagle zajaśniał przede mną klon i ujrzałem całe moje życie, jako 3-sekundowe mignięcie. Czułem, że jest tam każdy szczegół, nie mam do dziś pojęcia skąd to przyszło. Trwało sekundę, dwie, ale poczułem, że wszystko jest w najlepszym porządku. Na tym polegało przesłanie, więc szczegóły nie były potrzebne. Nie były ważne. Podstawową rzeczą był przekaz: wszystko, co się wydarzyło, jest w najlepszym porządku. Potem wyszedłem na pola. Bóg był we wszystkim. Trawa wyrastała wprost ze źródła, którym był Bóg. W chmurach manifestowała się Boża różnorodność. Bóg był wszędzie. Skakałem w górę i w dół, jak dzieciak, jak szczeniak. To było obezwładniające przeżycie. Potem, gdy wracałem, zacząłem się uspokajać.

Taka jest natura intensywnych doświadczeń: przemijają. Coś z ich substancji zawsze jednak zostaje, przemieniając naszą orientację. Ale odczucie ich piękna może stopniowo zaniknąć, a my powracamy do spraw przyziemnych i Boża obecność we wszystkim staje się bardzo przytłumiona. Potrzebny jest jej ciągły wzrost. Nie jest już tym wszechogarniającym uczuciem obecności z chwili zdarzenia. Oczywiście, zrozumiałem potem, że Bóg podobnym uczuciem darzy każdego z nas. Nie tylko mnie. Jedynie zdarzyło mi się, jako przedstawicielowi ludzkiej rodziny, odczuć, że Bóg wszystko uczynił dla nas. Nie ma tutaj miejsca na dumę, czy poczucie, iż jest się duszą wybraną. Oto po prostu zasłona, która skrywa niezmierną miłość Boga do nas, uchyliła się nieco przede mną na krótką chwilę.

Mogłem ujrzeć w nowym świetle, w jaki sposób patrzy na nas Bóg. Polegając na sobie, nie możemy osiągnąć albo wygrać Jego miłości; nie wyprosimy sobie nagrody spełniając dobre uczynki. Nie jest to Boży sposób działania. Nie w naszym świecie. Wszystko ma źródło w Bożym miłosierdziu. Zdałem sobie bowiem sprawę, że to miłość jest najcenniejszym darem. To właśnie problem ludzi, dla których Bóg jest po prostu Bogiem, który nagradza za dobre uczynki. Ten rodzaj sprawiedliwości tu się nie sprawdza. Takim ludziom grozi poważne niebezpieczeństwo, że umknie im zaproszenie do jedności z Bogiem, ponieważ będą oni bardziej polegać na własnych siłach i spełnianiu uczynków, jako sposobach na osiągnięcie Bożej przychylności.

Ojciec Thomas Keating urodził się w roku 1923 w Nowym Jorku. Do trapistów wstąpił w roku 1944. W zakonie był superiorem i opatem. Jest założycielem Ruchu Modlitwy Głębi (Centering Prayer Movement), który gromadzi i wspiera ludzi praktykujących modlitwę głębi na całym świecie. Zaangażowany jest również w dialog między religiami. W 1998 roku poprowadził Seminarium Johna Maina na temat „Serce świata”. Autor licznych książek, w Polsce ukazały się m. in. „Przebudzenie”, „Królestwo Boże jest jak...”, „Podróż do wnętrza” (Wydawnictwo WAM).

Peter Ng jest krajowym koordynatorem WCCM w Singapurze i członkiem zarządu Rady Kierowniczej WCCM. Naucza medytacji od 1988 roku. Wydał liczne publikacje, w tym zbiór nauk o. Johna Maina „Głód głębi serca” (Wydawnictwo WAM). Tłum. Bartosz Wincek Copyright: wccm.pl